GiLA-my

W numerze między innymi:

- Kulisy plebiscytu Złote Gile
- Humanistyka oczami absolwenta
- Powrót do przeszłości – refleksja nad porzuconymi projektami
- Z wizytą w ośrodku dla cudzoziemców w Grupie
- Toruńskie spotkanie z przedstawicielami polskiej popkultury

GiLA-my, nr 4 (25), czerwiec 2017

Od redakcji

W mgnieniu oka minęło 10 miesięcy. Dobiegający końca rok szkolny był bardzo ważny – GiLA obchodziło swoją osiemnastkę. Polska oświata została poddana reformie. To oznacza, że po wakacjach nie zobaczymy już nieśmiałych pierwszogimnazjalistów. Marta Rogulska na łamach wakacyjnego GiLA-my wraca do naszych pomysłów na teksty z tamtego okresu i przedstawia Cerberka – kuzyna Pudelka. We wrześniu naszą społeczność zasili z kolei więcej świeżo upieczonych licealistów – w tym cała klasa humanów i równie nowiutka chem-fizów. W numerze relacjonujemy spotkanie z Maksymem Gdańskim, absolwentem naszej szkoły, który opowiedział o humanistyce przez pryzmat własnych doświadczeń. Likwidacja gimnazjów oznacza również, że żywot Złotych Gili zbliża się do kresu. Z pewnością znajdą godne następstwo, zwłaszcza, że plebiscyt z każdym rokiem wywołuje więcej pozytywnych emocji. Zuzia Kuffel ujawnia jego kulisy i przedstawia zwycięzców, którzy zostali nagrodzeni statuetkami podczas gali w Dniu z Wychowawcą.

Dość już o reformie, która od roku jest na językach. Przedsmak wakacji zapewnia Zuzia Sędziak swoją opowieścią o klimatycznej Krecie. Przez najbliższe dwa miesiące zawrzecie wiele nowych znajomości. Przed nierozwagą w kontaktach towarzyskich przestrzega Marta Rogulska swoim opowiadaniem o incydencie, który mógł się przydarzyć wielkim polskim poetom. Jeśli nie jesteście miłośnikami wieszczów, może zainteresują Was artyści. Adam Łangowski znów przelewa swoją pasję na papier i bierze na tapetę Zbigniewa Liberę, a Staszek Kostulski relacjonuje Festiwal Kultury Popularnej „DwuTakt". Na plażach, lotniskach i gdziekolwiek w wakacje się znajdziecie – będziecie spotykać cudzoziemców, nierzadko ludzi ukształtowanych w zupełnie innej kulturze niż nasza. Zwykle to niezwykle wzbogacające doświadczenie. Zuzia Kuffel na łamach numeru wakacyjnego dzieli się wrażeniami z wizyty w ośrodku dla uchodźców w Grupie.

Drodzy Czytelnicy, życzę Wam, żebyście naładowali baterie energią słoneczną i wrócili we wrześniu pełni nowych chęci. Róbcie to, na co w trakcie roku szkolnego nie możecie sobie pozwolić. Może przyda się Wam sentencja Ralpha Waldo Emersona: „Nie podążaj tam, gdzie wiedzie ścieżka. Zamiast tego pójdź tam, gdzie jej nie ma i wytycz szlak". Życzę Wam, żebyście zarówno w wakacje, jak i w przyszłym roku szkolnym zawsze znajdowali swoją drogę. Bądźmy młodzi i niepokorni.

Zuzanna Kuffel

Spis treści

Wektory humanistyki……..……..……..3

O cerberkach, czyli porzucone projekty i co z nich wynikło……..……..……4

Gilowicze wybrali najlepszych……..5

Popularni popularni……..……...……...7

Dom daleko od domu…..……..……...……...8

Ślady człowiecze – aspekty antropologiczne w pracach Zbigniewa Libery……..……..…..9

Moje małe greckie wakacje……....……..……...……11

A potem, jako czynią modne bohatery, w łeb sobie strzelę……...14

Teatr w roli głównej..……15

Wektory humanistyki

Maksym Gdański – absolwent GiLA, obecnie student ekonomii i stosunków międzynarodowych na SGH – powrócił do swojej dawnej szkoły, by porozmawiać z uczniami o humanistyce w perspektywie własnych doświadczeń.

„Przyszedłem do szkoły jako matematyk. Gimnazjum skończyłem jako geograf. Z liceum wyszedłem humanistą" – zaczyna rozmowę. „Bo do bycia humanistą się dojrzewa" – komentuje jego wypowiedź pani Ilona Glatzel. I dodaje: „Dobrze, gdy uzdolniony matematyk nie poprzestaje na naukach ścisłych, ale widzi swój rozwój w kształceniu humanistycznym". Maksym dopytuje, czym właściwie jest humanizm. „Nauką o człowieku i wszystkich jego wytworach"; „to po prostu stawianie człowieka w centrum zainteresowań" – padają odpowiedzi z sali. Według prowadzącego humanizm bliski jest erudycyjności, umiejętności łącznia wiedzy z różnych dziedzin. Może jednak najważniejszy w formułowanej definicji jest kontakt z drugim człowiekiem. „Wiele osób wybiera studia medyczne wyłącznie ze względu na korzyści finansowe. Tymczasem lekarz jest dobry, kiedy ma kontakt z pacjentem, potrafi go zrozumieć i mu pomóc; nie może tylko wypisywać recept. Podobnie w ekonomii" – mówi Maksym. „Patrzenie na cyferki staje się problem, jeśli traci się z oczu dobro człowieka". Przywołuje cytat z Ryszarda Kapuścińskiego: „Człowiek pewne rzeczy dostrzega późno, jeszcze więcej później, najważniejsze – za późno".

Fot. Maria Tuszyńska

Ale jak połączyć najważniejsze, czyli pasję, z niemal równie ważnymi korzyściami materialnymi, kiedy jest się humanistą? Prowadzący spotkanie podaje przykład konserwatorów zabytków z Muzeum Narodowego w Warszawie, którzy wkładając w pracę wielki wysiłek, miesięcznie zarabiają od 15 do 20 tysięcy złotych. Czy więc słusznie humanistyka kojarzy niektórym ze zmywakiem w Anglii? W opinii pana Arkadiusza Kierysa kariera nie zależy od wykształcenia, lecz od inteligencji emocjonalnej. Maksym jednak nie zgadza się z historykiem. „Na rynku jest niedobór dobrych informatyków, więc bierze się ich od ręki" – argumentuje. Aczkolwiek przyznaje, że humanista ma większe szanse na znalezienie pracy, jeśli jego pole zainteresowań jest szerokie. Tłumaczy to na własnym przykładzie. Obok studiów zajmuje się analizą geopolityczną Azji Południowo-Wschodniej, co wymaga wiedzy z różnych dziedzin. I wymaga nieustannego rozwoju: „Na razie korzystam z publikacji w języku angielskim, ale zacząłem się uczyć chińskiego". Prelegent za kluczowy element ekonomii uważa jednak historię. Próbuje pokazać ścisłowcom, że spojrzenie humanistyczne daje szeroką perspektywę. „Brakuje mi w szkole przedmiotu takiego jak logika" – mówi Maksym. Humanistyka niesłusznie kojarzy się wielu ludziom tylko z interpretacją wierszy i wkuwaniem dat.

W drugiej części spotkania Maksym opowiada o studiach w Szkole Głównej Handlowej, gdzie pierwszy rok jest ogólny, a na drugim podejmuje się decyzję o dalszym toku nauki. Gość zwrócił uwagę, że najlepszych nauczycieli spotkał na zajęciach z przedmiotów nieobowiązkowych. Z innych względów najważniejsze są ćwiczenia. SGH pozwala się nie przepracowywać, więc ambitny student może skończyć studia w przeciągu dwóch lat. On ma obecnie półtora raza więcej przedmiotów niż przeciętny student SGH i pisze dwie prace licencjackie naraz. Zamierza przenieść się do Łodzi, żeby studiować stosunki międzynarodowe, bo w Szkole Głównej Handlowej spośród 1400 uczniów tylko dwoje wybrało ten kierunek. „Trudno uczyć się indywidualnie. Potrzebna jest wymiana myśli" – mówi Maksym, bazując na własnym przykładzie.

Spotkanie trzeba uznać za bardzo interesujące. Uczniowie zadawali liczne pytania, zwłaszcza co do sposobu studiowania na SGH. Warto posłuchać kogoś, kto niedawno znajdował się w tym samym miejscu, co my teraz. Wiele młodych osób nie wie, w jakim kierunku będzie się dalej rozwijać, co wybierze, czy znajdzie pracę. Poznając historie takich ludzi jak Maksym, łatwiej jest zrozumieć samego siebie i podjąć decyzję.

Zuzanna Kuffel

O cerberkach, czyli porzucone projekty i co z nich wynikło

Oto wychodzi naprzeciw Kerberos, potworne psisko o trzech paszczach. Już z daleka słychać jego szczekanie, które chrapliwym zgiełkiem napełnia mroczne pustkowia. Wytężasz słuch. Wśród szczeknięć słyszysz nieco przytłumione ludzkie słowa: „Zeus znowu zdradził swoją żonę!”.

Przez trzy lata osoby piszące do gazetki (mniej lub bardziej regularnie) wrzucały swoje teksty na dysk Google, który – pomimo kilku przypadków, kiedy rzeczywiście coś się popsuło – okazał się genialnym rozwiązaniem, bo można było zawsze sprawdzić, o ile ktoś spóźnił się z obiecanym tekstem. Ale nie o tym, bo jeśli się pospieszę z tym artykułem, to może nawet wydamy dwa numery miesiąc po miesiącu. Do rzeczy więc. Jakaś nagła chwila zadumy sprawiła, że zdecydowałam się zerknąć na foldery najstarsze, czyli te z roku 2014/15, gotowa na ich występy…

Pierwszy numer (tworzony przez obecny skład redakcyjny) pojawił się w lutym 2015. Oj, nie spieszyło nam się. Chociaż to i tak nieźle, zważywszy że byliśmy nowymi uczniami w tej jakże specjalnej szkole. Przez kilka miesięcy przygotowywaliśmy się do redagowania, przeglądając gazety i czytając kserówki. Wśród obecnych pierwszaków dużego zainteresowania redagowaniem gazetki nie ma, a szkoda. No cóż, nie będą mieli się z czego śmiać za dwa lata.

Rzućmy okiem chociażby na wstęp (który potem już zwykliśmy dumnie nazywać wstępniakiem, poduczywszy się terminologii dziennikarskiej) lutowego numeru. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego pani prof. Glatzel usunęła z niego fragment o tym, jak redakcja żywi nadzieję, iż uczniowie będą rzucać się na gazetkę jak Putin na Krym. Kilka linijek dalej w niesprawdzonej wersji Ania Rzeczkowska (aktualnie abiturientka, niech Moc będzie z nią) porównuje szerokość naszych poglądów do talii Grodzkiej. Wiele tekstów musiało wpadać pod ostrze cenzury redakcyjnej, zanim Dzieci GiLA choć trochę nauczyły się pisać jak należy. Część naszych szalonych pomysłów nigdy nie weszła w życie. I nie mówię tu o mniej lub bardziej trafnych aluzjach politycznych; mam na myśli rubrykę, która nigdy nie ujrzała światła dziennego.

Cerberek.pl narodził się w pełnych degrengolady umysłach ówczesnych pierwszoklasistów... Co ludzie chętnie czytają? Portale plotkarskie. Co my znamy dobrze? Mitologię. Jaki portal jest najpopularniejszy? Pudelek.pl.

Autorka tego tekstu zastanawiająca się, co kierowało jej procesami myślowymi dwa lata temu.

Oczywista analogia do greckiego Cerbera zaświtała niemal natychmiast. Natchnieni lekturą Mitologii Parandowskiego, pewni byliśmy tego, że nasze przewrotne pomysły zapoczątkują rewolucję intelektualną, a w przyszłości całe narody podążą za nami. Pamiętam, że od razu wyobraziłam sobie logo Pudelka z doklejonymi (za pomocą moich perfekcyjnych umiejętności graficznych) dodatkowymi głowami. W każdym kolejnym numerze gazetki miał ukazywać się w ramach Cerberka tekst o którymś z olimpijskich bogów, napisany w stylu zbioru plotek z jego życia.

Do Cerberka napisałam jeden artykuł, który po dziś dzień straszy w odmętach dysku. Traktował o Dionizosie, więc widać, że wzięłam się od razu za najsoczystszy kąsek do obgadywania. Moja przyjaciółka napisała tekst o Zeusie, ale on także zagubił się gdzieś po drodze z komputera autora do druku. Wszyscy przekładali nakarmienie trzygłowego psiaka do publikacji kolejnego numeru, potem jeszcze do następnego, aż w końcu biedak nie wytrzymał i ślad po nim prawie zaginął. Wspomnieliśmy o nim potem może dwa razy, używając trafnego porównania: „piszesz to jak cerberka", aby skomentować opieszałość jakiegoś kolegi i zmotywować go kontruktywną krytyką do bardziej systematycznej pracy.

Kiedy teraz przeglądam Internet, kilka osób na sławnym portalu zadane.pl prosi o pomoc w napisaniu plotki o wybranym bogu z mitologii. Przypuszczam, że autor jakiegoś podręcznika albo nauczyciel wpadł na ten genialny pomysł przed nami. Cieszę się, że nie sprawdziłam tego dwa lata temu. Chyba bym się załamała, wiedząc, że mój trzygłowy pudel ma gdzieś daleką rodzinę.

Czy ten tekst ma jakąś puentę? Powiem tak: piszcie swoje cerberki. Rysujcie swoje cerberki. Nie wiem, czy da się liczyć cerberki, ale właśnie dlatego ktoś powinien spróbować. I wracajcie do rzeczy, które stworzyliście. Nie obiecuję, że czegoś Was nauczą, ale przynajmniej się pośmiejecie.

Marta Rogulska

Gilowicze wybrali najlepszych

Tradycją naszej szkoły jest plebiscyt Złote Gile. Co roku wywołuje emocje, choć kategorie nauczycielskie uważa się za przewidywalne. Jak było tym razem?

Najbardziej surowym nauczycielem pozostaje pani Anna Rygielska. Zaraz za nią uplasowała się pani Bożena Kmiecik. Trzeba przyznać – biol-chemy w tej szkole nie mogą zbijać bąków. Wysoko w rankingu pojawiły się aż trzy polonistki. Wynik 85,49% na maturze podstawowej nie bierze się znikąd. „GiLAtyna" to kategoria, w której głosy rozłożyły się na najmniejszą liczbę osób.

Najstaranniej piszącym nauczycielem ponownie okazała się pani Bożena Staszkiewicz, która zdobyła aż jedną trzecią głosów. Ciekawe było wskazanie pana Krzysztofa Czarkowskiego z dopiskiem: „gdy pisze na komputerze". Każdy z wuefistów dostał co najmniej po jednym głosie. Może ktoś zagląda w ich niebieskie notesy?

Zaskoczeniem okazała się kategoria „Epikurejczyk", w której wybraliśmy nauczyciela czerpiącego radość z życia i pozytywnie nastawionego do świata. Wygrał ksiądz Dawid Wasilewski uczący religii w gimnazjum dopiero od listopada 2017. Mówi się o nim jako o królu freestylu.

Najmniej bo tylko 6 głosów nieważnych pojawiło się w kategorii „Dydaktyk roku". Za najlepszego z nauczycieli uznano pana Arkadiusza Kierysa. Czym zjednuje sobie uczniów? Ironią, rzeczowością, szczerością. Kiedy rozmawiałam z uczniami klas pierwszych gimnazjum o nauczycielu idealnym, wskazali pana Kierysa. „Opowiada tak, że wszyscy rozumieją i nie używa trudnych słów, tylko raczej potocznych. Rozbawia nas – szczególnie, gdy próbuje coś wytłumaczyć, ale nie wie jak. Wie, co nas interesuje i jak do nas dotrzeć" – mówi Ola Kozakiewicz.

Kategorie uczniowskie zupełnie różnią się od nauczycielskich. Pojawia się coraz więcej niewypełnionych kart i głosów nieważnych. Są też różne komentarze…

Autorką statuetek jest Agnieszka Fornalik z klasy 3BG

„Mimo iż rodzina wmawia mi, że matematykę i fizykę mam w genach, to tak naprawdę interesuje mnie biologia i chemia, a nade wszystko drzemie we mnie dusza artysty. Po godzinach maluję, rysuję, rzeźbię i zagłębiam się w tajniki historii sztuki.

Rysować zaczęłam jako dwuletnia dziewczynka pod wpływem impulsu, na ścianach głównego pokoju w naszym domu. Początkowo ukrywałam się z tą moją przypadłością i robiłam to w miejscach mało widocznych, np. za telewizorem, gdyż dobrze wiedziałam, że nie dorównują jeszcze one freskom Michała Anioła rodem z Kaplicy Sykstyńskiej. Ale gdy pewnego dnia przez przypadek strąciłam odbiornik telewizyjny na podłogę, wyszły na jaw wszystkie moje grzechy. Wtedy to rodzice postanowili posłać mnie na prywatne lekcje rysunku. Myślałam wówczas, że wszystko po to, żebym dowiedziała się do czego służy kartka papieru. A tak naprawdę poznawałam na nich: jak buduje się perspektywę, jak zbudowane są dłonie, a nawet cały człowiek, jak stosuje się cienie, podkreśla głębię, jakie stosuje się techniki malarskie, a przede wszystkim — że w malarstwie najważniejsza jest wyobraźnia.

Źródło: archiwum prywatne Agnieszki

W 2011 roku namówiono mnie na mój pierwszy obraz w technice olejnej. Biorąc pod uwagę, że była to moje pierwsze doświadczenie z malowaniem na płótnie, byłam z siebie bardzo dumna. Z każdą kolejną pracą uczyłam się coraz więcej i więcej, aż zaczęto mnie doceniać w wielu konkursach nie tylko ogólnopolskich, ale i międzynarodowych.

Od tej pory praktycznie nie rozstaję się z pędzlem i sztalugą. Poczułam, że jest to coś, co kocham robić w każdej wolnej chwili; coś, dzięki czemu czuję się wolna od bieganiny i nerwowości życia codziennego; coś, co pozwala mi być sobą, a poznawanie sztuki stało się moją pasją".

W kategorii „Spiritus movens" zwyciężyła Edyta Jagielska – przewodnicząca Samorządu Uczniowskiego. Pojawił się komentarz, że GiLA zabija inicjatywę i zapędy organizacyjne. Pytam więc Edytę, dlaczego startowała do Samorządu Uczniowskiego. „Pamiętam samorząd Klary Rubiniec oraz zeszłoroczny – kiedy przewodniczącą była Ola Lichocka. Obie te dziewczyny są niesamowite i dały tej szkole bardzo dużo, tworząc właśnie uczniowską przestrzeń" – odpowiada zwyciężczyni. Zauważalne były dwie tendencje w głosowaniu: albo na przewodniczącego klasy albo na przewodniczącą szkoły.

W kategorii „Osobowść GiLA" pojawił się komentarz, że w naszej szkole nie ma żadnych osobowości. Jednak znaczna większość głosujących zauważa takie osoby. Za ucznia o najbardziej interesującej osobowości gilowicze uznają Jakuba Boryka – tegorocznego absolwenta Liceum Akademickiego. Nominowano też jego brata Wojciecha – widocznie to u nich rodzinne. Kuba kilkakrotnie prowadził różne wydarzenia, m.in.. „Koncert talentów". Jeśli jeszcze nie wiecie, o kogo chodzi – jego znakiem rozpoznawczym są bujne włosy.

GiLA to szkoła pełna osób wszechstronnie uzdolnionych. Tym większym wyróżnieniem jest tytuł „Człowieka renesansu". Uczennicą o wielu zdolnościach z różnych dziedzin została Marta Piotrowska z klasy drugiej gimnazjum. Tuż za nią – Procyków dwóch. Zwyciężczyni jest laureatką w konkursach z chemii i biologii. „Jej cechą charakterystyczną jest wiedza. Ma wyjątkową inteligencję" – prezentuje Martę przyjaciółka Klaudia Stachniuk.

Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. Ze szczęściem Mateusza Gadzały jest podobnie. Na jego półce stanie już drugi Złoty Gil za zwycięstwo w kategorii „Dziecko szczęścia". Rozkład głosów w tej kategorii dowodzi, że każdy z nas czasami ma fart. Po jednym głosie otrzymało 49 osób, po 2 głosy aż 25.

Serdecznie gratuluję zwycięzcom. Wygrana w plebiscycie uczniowskim to dowód, że się wyróżniliście. Pozostałym uczniom życzę, żeby byli sobą i dali się dostrzec – Złote Gile wracają w przyszłym roku.

Zuzanna Kuffel

Popularni popularni

Spotkanie ze znanymi przedstawicielami polskiej popkultury w Toruniu

Fot. Stanisław Kostulski

„Kobiety w popkulturze – bohaterki i twórczynie". Pod takim hasłem odbył się czwarty Festiwal Kultury Popularnej DwuTakt. 27 maja od 12.00 do 20.00 w salach toruńskiego Dworu Artusa tłumnie zgromadzeni goście mogli skorzystać z obwoźnej czytelni komiksów, na kiermaszu wyłowić rysunkowe perełki czy zabawić się w specjalnie przygotowanym escape roomie. Dla amatorów gier przygotowane były stanowiska z konsolami PS3, PS4, Xbox 360 i Xbox ONE. Miłośnicy tatuażu w panelu „Dziaranie na bananie" mogli obserwować profesjonalnych tatuażystów przy pracy, a nawet spróbować swoich sił na owocu. W sercu Starego Miasta znalazło się nawet miejsce dla technicznych nowinek. W strefie VR każdy chętny mógł obejrzeć film w wirtualnej rzeczywistości. Najliczniej odwiedzane były jednak sale poświęcone motywowi przewodniemu festiwalu. W Sali Malinowej, w panelu tematycznym „Renesans superbohaterów" odbywały się spotkania, prelekcje i dyskusje na temat udziału i roli kobiet w najpopularniejszych produkcjach Marvela czy DC Comics. W trakcie spotkań ze znanymi przedstawicielkami polskiej kultury popularnej Sala Wielka Dworu Artusa wypełniała się po brzegi. Można tam było spotkać takie postaci jak duet youtuberów: Aleksandrę „Mishon" Kasprzyk, Macieja Dąbrowskiego „Człowieka Wargę", a także rysowniczkę, blogerkę, autorkę książek dla dzieci Kasię Babis „Kiciputka", piosenkarkę i aktorkę Marię Peszek i polską reprezentantkę na tegorocznej Eurowizji Kasię Moś. Po skończonych spotkaniach została otwarta strefa autografów, gdzie fani mogli poprosić gwiazdy o podpis i zrobić sobie z nimi pamiątkowe zdjęcie. Głównym wydarzeniom imprezy towarzyszyły także projekcje filmowe i spotkania z polskimi autorami kryminałów. Organizatorzy zaoferowali niezwykle bogatą ofertę rozrywkową dla odwiedzających. Nawet nie uczestnicząc w głównych spotkaniach, żaden z gości nie mógł się nudzić. Moim zdaniem toruński „Dwutakt" powinien być punktem obowiązkowym w kalendarzu każdego fana komiksu i fantastyki.

Fot. Stanisław Kostulski

Stanisław Kostulski

Dom daleko od domu

W naszej szkole zorganizowano już dwie zbiórki ubrań dla cudzoziemców w Grupie. Jakie realia tam panują? Do kogo trafiają przyniesione rzeczy? Jak wygląda życie w murach ośrodka?

Grupa, tutaj – między Świeciem a Grudziądzem – znajduje się jeden z dwunastu w Polsce ośrodków dla cudzoziemców. Spośród kolorowych bloków mieszkalnych wyróżnia stary szary budynek; niegdyś mieścił się w nim hotel. Obecnie przebywają tu między innymi Rosjanie, Ukraińcy i Gruzini.

Rano mieszkańcy udają się na śniadanie do stołówki. Wcześniej odbierają specjalne talony na jedzenie. Jeśli ktoś nie stawi się w określonych godzinach, będzie musiał czekać do obiadu. Posiłki zabierane są do pokoi – cudzoziemcy preferują jedzenie osobno. Kuchnia jest podobna do polskiej, ale uwzględnia zastrzeżenia religijne. Duża część mieszkańców ośrodka to muzułmanie. Na korytarzach można spotkać liczne kobiety w hidżabach. Wyznawcy islamu mają swój pokój modlitw, którego bardzo strzegą. Islam to religia, w której różnica płci silnie wpływa na zwyczaje społeczne, dlatego np. na terenie ośrodka znajdują się osobne świetlice dla mężczyzn i kobiet. Odbywają się w nich m.in. zajęcia aktywizacyjne dla kobiet, które prowadzi Fundacja Emic. Jedna z uczestniczek spotkań pochodzi z Ukrainy, z Doniecka. „Przyjechałam do Polski w czerwcu 2015 roku z mężem i dwójką dzieci. Córka i syn chodzą do szkoły w Grupie” – mówi.

Rano starsze dzieci wychodzą do lokalnej szkoły, gdzie uczą się w języku polskim, którym posługują się w stopniu komunikatywnym. W ośrodku zostają najmłodsi oraz dorośli. Brzdące mają zajęcia w świetlicy. Jest to najbardziej kolorowe pomieszczenie w ośrodku – pełne zabawek i polskich książeczek. Prowadzące zabawy przedszkolanki zwracają się do podopiecznych w języku polskim, choć większość grupy mówi po czeczeńsku. Dobrym nastawieniem oraz komunikatami niewerbalnymi można osiągnąć porozumienie. Dzieci ćwiczą układ taneczny na konkurs. Z biegiem dnia do sali zabaw przychodzą coraz starsi, a zarazem coraz bieglej władający polszczyzną podopieczni. Oni z kolei ćwiczą tańce kaukaskie, które zaprezentują podczas dnia otwartego w ośrodku, mając na sobie tradycyjne stroje. Już na próbę większość dziewczynek czesze włosy w dwa warkocze. Podczas zajęć dzieci tworzą też prace plastyczne – tym razem pod hasłem „Mój dom”. Jedni przedstawiają ten motyw jako budynek, drudzy jako drzewo genealogiczne, a jeszcze inni rysują flagę Polski i swojego oj-

Fot. Marek Mikołajczyk

czystego kraju. To, że cudzoziemcy czują się w Polsce dobrze, potwierdza jedna z mieszkanek: W czerwcu miną dwa lata od naszego przyjazdu do ośrodka. Dzieci chodzą i śpiewają: Polska! Biało-czerwoni!".

Po południu w ośrodku odbywają się dodatkowe zajęcia z języka polskiego dla wszystkich grup wiekowych. Młodsi uczęszczają na nie chętnie, ale wśród dorosłych szkoła nie cieszy się dużą popularnością. Życie starszych mieszkańców zdaje się przepełniać pustka. Niewielu z nich ma możliwość podjęcia pracy. Całe dnie spędzają w ośrodku. Rodziny skupione są w jednym pokoju, w którym mieszczą wszystkie swoje rzeczy, z małą łazienką. Na terenie ośrodka urzędują pielęgniarka, lekarz i czasami psycholog. Społeczność cudzoziemców w ciągu dnia wylega na korytarze i gromadzi się, np. przy laptopie. Jeden z chłopców w ośrodku wyznał, że marzy o takim komputerze. Inny powiedział: „Chciałbym zostać w Polsce".

Niektórzy dorośli jednak uciekają – zazwyczaj na Zachód. Pracownicy ośrodka mówią, że codziennie odbywają obchód i po dwóch dniach nieobecności w ośrodku cudzoziemiec zostaje skreślony z listy. Jeśli ktoś chciałby wrócić na Wschód, mógłby ubiegać się o pomoc w sfinansowaniu podróży. Jednak większość cudzoziemców woli zostać w Polsce. Zapytana o chęć powrotu Ukrainka tak wspomina swoją ojczyznę: „Tam nas nic nie trzymało. Zabraliśmy zegarki i telefony. Przyjechaliśmy z czterema torbami i dwoma torebkami. Na Ukrainę po prostu nie ma gdzie wracać. Tam idzie wojna. Nasze mieszkanie trafił granat i po prostu zostało zrujnowane". Cały czas mówi po polsku. W swoich planach na przyszłość uwzględnia kurs na prawo jazdy, a przede wszystkim wynajęcie mieszkania. Nie każdy z taką łatwością opowiada o swoich przejściach. Jeden z Czeczenów, który w murach ośrodka spędził 6 miesięcy, mówi tylko: „Nie chcę mówić o tym, jak się tu dostałem. Mogę mieć przez to problemy. Było ciężko…"

Rozmowy, uściski i uśmiechy dzieci – wizyta w ośrodku była dla mnie pełna wrażeń i refleksji. Grupa to miejsce bogate kulturowo i gromadzące ludzi, którzy wiele przeszli. Teraz stoją przed szansą na nowe życie – ale czy bez obaw o jutro?

Zuzanna Kuffel

Ślady człowiecze – aspekty antropologiczne w pracach Zbigniewa Libery

Kiedy byłem jeszcze dzieckiem ni stąd, ni zowąd zapytałem mojego ojca, czym jest antropologia. Pamiętam, iż prostota tej odpowiedzi wryła mi się na stałe w pamięci: „Antropologia to nauka o ludzkich zachowaniach". Nową jakość tego zdania odkryłem, oglądając w pewnej galerii pracę *Jak tresuje się dziewczynki*. Uświadomiłem sobie wtedy cel antropologii – oprócz próby lepszego zgłębienia powodów ludzkich zachowań, powstaje przy tym produkt uboczny – pokaz absurdu wyuczonego systemu zachowań. Od czasu, kiedy uświadomiłem to sobie, Libera nieustannie kojarzy mi się z pewną wypowiedzią z *Alicji w Krainie Czarów*: „A co to znaczy, że coś wypada? Gdyby ludzie się umówili, że wypada nosić twaróg na głowie, nosiłabyś?"

Źródło: Pinterest

Rozpocznę od pracy *Obrzędy intymne* z 1984 roku. Po wyjściu z więzienia Libera zaczyna opiekować się swoją dziewięćdziesięcioletnią babcią. Autor rejestruje czynności związane z opieką m.in. podcieranie, obmywanie, karmienie. Jako widz wdzieramy się w intymną relację pomiędzy Reginą G. i artystą, a może Libera nakazuje nam na to patrzeć, by wzbudzić w nas stan zażenowania. Patrząc od innej strony, możemy zobaczyć autora hołdującego społeczeństwu, wychowanemu w pełnej akceptacji podglądactwa. Wideo to jest płaszczyzną krystalizacji dwu postaw. Jedna to gloryfikacja poświęcenia i miłości, druga to uprzedmiotowienie człowieka, który staje się jedynie skorupą bez życia, bez świadomości.

Galeria raster

MOŻESZ OGOLIĆ DZIDZIUSIA

Kolejne wideo związane z Reginą G. to *Perseweracja mistyczna*. Perseweracja to uporczywe powtarzanie jednej, określonej czynności. Jest objawem wielu chorób psychicznych np. schizofrenii czy katatonii. Libera mówi o tej pracy tak: „Opisywana praca jest działaniem o charakterze magiczno-mistycznym, niezależnym od jakiejkolwiek znanej formy religii, magii lub sztuki. Nie tworzy ani kontestuje żadnego systemu. Powstaje codziennie, bez względu na aktualny stan układów politycznych, społecznych, kulturowych, towarzyskich, artystycznych, finansowych, oficjalnych i nieoficjalnych. Dzieje się zawsze w tym samym miejscu, doświadczana zawsze przez jedną osobę – Reginę G., niewidomą i niedołężną, nie opuszczającą swojego łóżka. Moja obecność podczas rejestrowania działania była przypadkowa, nieuwzględniona przez osobę doświadczającą. Opisywana praca jest immanentnie związana z egzystencją Reginy G. Jest bowiem jedyną, poza fizjologicznymi, czynnością wykonywaną samodzielnie. Jest jedyną formą kontaktu z rzeczywistością zewnętrzną”.

Największy potencjał antropologiczny ujawnia natomiast praca *Jak tresuje się dziewczynki*. Na wideo jakaś ciotka daje do ręki czteroletniej dziewczynce różne kosmetyki i instruuje ją, jak ich poprawnie używać. Libera ukazuje proces tworzenia się tożsamości płciowo-kulturowej. Uświadamia rzeczy, które są naturalne w środowisku ludzkim. Pokazuje także nadmierną estetyzację kultury. Z nią właśnie związane są dwie kolejne rzeźby – *Możesz ogolić dzidziusia, Ciotka Kena*. Obydwie oszałamiają krytyką kultu piękna. Jest to interesujące, gdyż Libera już wtedy, w latach osiemdziesiątych, wykrył to zjawisko, popularne dopiero obecnie.

Interesujący jest także cykl *Urządzeń korekcyjnych* z m.in. pracami takimi jak *Łóżeczka porodowe dla dziewczynek* czy *Body master* . Prace te mają wprawiać dzieci w ustalone z góry schematy płciowe – każda dziewczynka ma być w przyszłości matką, a każdy chłopiec prawdziwym macho. Wiele wyjaśnia komentarz Libery do tych prac: „Z założenia miały to być obiekty wykonane w estetyce perswa-

Kultura dostępna 123RF.com

ŁÓŻECZKA PORODOWE

zji. Nie tylko estetyczne, do patrzenia, ale prawdziwie funkcjonalne w sensie wpływu, jaki wywierają w rzeczywistości. Interesował mnie nacisk, jaki mają na nas przedmioty, jak nas urabiają. W jaki sposób zabawki mają wpływ na dzieci? Zastanawiałem się, jak skompromitować funkcje przedmiotów tak dobrze znanych z naszej codzienności? Przekonałem się, że można to zrobić poprzez pewien rodzaj zakłócenia. Zbudować niemal identyczny, perswazyjny przedmiot, w tej samej estetyce i przy użyciu tej samej technologii, podobnie działający, ale jednak nieco inny, jak gdyby zmodyfikowany genetycznie. Chodziło o to, aby aplikowany, operujący wewnątrz wirus rozmontowywał związek przedmiotu z dziedziną urabiania.

Lecz cały czas pozostaje pytanie, na które każdy widz musi odpowiedzieć sobie sam: czy te prace są wciąż aktualne? To zależy od czasu i położenia gospodarczo-polityczno-społecznego. Może z czasem

BODYMASTER

Culture.pl

prace te zyskały nową jakość i nowe pola do interpretacji. Każdy będzie odbierał je przez pryzmat własnych poglądów, doświadczeń i tradycji. Dlatego są one tak wyjątkowe – dla każdego znaczą co innego.

Adam Łangowski

Moje małe greckie wakacje

Wakacje zbliżają się wielkimi krokami, więc wszyscy rzucamy się w wir polowań na oferty last minute. Należy zatroszczyć się o all-inclusive, wyżywienie wliczone w cenę, plażę i sklepy z pamiątkami tuż koło hotelu (koniecznie z basenem!) oraz obowiązkowo – darmowe Wi-Fi. Ja jednak – korzystając z wakacyjnego nastroju – opowiem Wam, jak można doskonale spędzić 10 dni w małej, nadmorskiej miejscowości na Krecie, ani razu nie wchodząc do morza, nie kąpiąc się w basenie, nie wylegując się na plaży ani nie oglądając zabytków kultury minojskiej, polecanych turystom w każdej tawernie.

Wysiadając z samolotu na lotnisku w kreteńskim mieście Chania, miałam takie oczekiwania i plany, jak każdy turysta (a w szczególności wymęczony po całym roku szkolnym uczeń), który wybrał się nad basen Morza Śródziemnego – leżeć na plaży, pływać w ciepłej wodzie i może ewentualnie obejrzeć jakiś grecki zabytek. Poza tym liczyłam na odrobinę ciszy i spokoju, dobre, regionalne jedzenie oraz możliwość porozumienia się wieczorkiem przez internet z przyjaciółmi – słowem: słodkie, wakacyjne lenistwo.

Nie przeliczyłam się chyba tylko w kwestii jedzenia. Nie będę się rozwodzić nad wspaniałością greckiej kuchni, a jedynie zapewnię, że wszystkie legendy opiewające smak śródziemnomorskich przysmaków są prawdziwe. Tak więc moje oczekiwania kulinarne zostały spełnione, a smak owoców morza i świeżego soku pomarańczowego zapamiętam jeszcze na długo. Jednak reszta moich planów dotyczących tego wyjazdu w większości spełzła

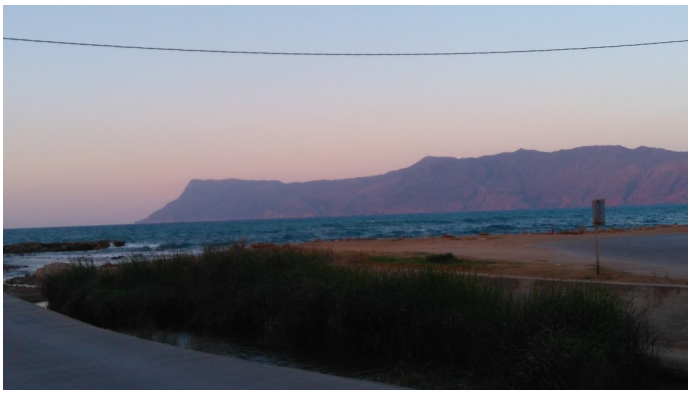

Fot. Zuzanna Sędziak

na niczym. Okazało się, że ze względu na czterdziestostopniowe upały sierpniowe znaczna część wycieczek z Kissamos, miejscowości, w której mieszkałam, na najpiękniejsze – według biur podróży – plaże i laguny całej Krety została odwołana. O wyjeździe do oddalonego o niemal 200 km Knossos nie było już nawet co myśleć. Upał utrudniał też korzystanie z lokalnej plaży w Kissa-

mos i morza – aby dostać się do wody, trzeba było przejść spory kawałek po niezwykle nagrzanym piasku; jeżeli nawet jakiejś gruboskórnej, wytrzymałej na wysoką temperaturę jednostce ludzkiej udało się tego dokonać, szybko rezygnowała z pływania w pełnym słońcu. „Taki urok podróży na południe w sierpniu" – myślałam, siedząc w klimatyzowanym pokoju hotelowym. Przy akompaniamencie szumu klimatyzatora, pisków straszaków na ptaki oraz miauczenia wszechobecnych na Krecie kotów, ubolewałam nad upałem i na dodatek – brakiem sprawnie działającego Wi-Fi.

Następnego dnia postanowiłam jednak, że nie dam się pokonać drobnym niedogodnościom, i wyruszyłam sprawdzić, co oprócz gorącej plaży i zamkniętego na czas remontu Muzeum Archeologicznego może mi zaoferować Kissamos. I tak oto dzięki upałowi zaczęłam poznawać i z każdą kolejną godziną coraz bardziej doceniać grecką mentalność, znajdując jednocześnie uniwersalny grecki sposób na życie.

Kiedy przechadzałam się zakurzonymi uliczkami miasteczka, starając się cały czas chować w cieniu drzewek cytrusowych, w oczy rzuciło mi się wiele greckich absurdów. Przede wszystkim zauważyłam, że na co drugiej posesji znajdują się podniszczone, porzucone fundamenty budynków – nie sposób powiedzieć, czy wyburzonych, czy dopiero budowanych. Później poznałam historię tych współczesnych ruin. Dowiedziałam się mianowicie, że na Krecie rodzice często zaczynają budować domy dla swoich dzieci, ale nie korzystają przy tym z żadnych oszczędności ani nie biorą kredytów. Po prostu dobudowują fragment, kiedy akurat mogą sobie na to pozwolić – w tym roku fundamenty, w następnym ściany, za kilka lat może piętro… Lecz dzieci dorastają i postanawiają zbudować sobie inny dom lub w ogóle wyprowadzić się z miasteczka, rodzice umierają, a fundamenty – zostają i mylą wszystkich turystów, którzy uznają je za miejsca badań archeologów. To charakterystyczne dla krajobrazów kreteńskich miast zjawisko jest jednym z wielu przykładów greckich absurdów. Na inny natrafiłam, szukając drogi do supermarketu INKA (którego najtrafniejsza jak do tej pory definicja brzmi: „grecki odpowiednik Biedronki"). Rozglądając się w poszukiwaniu jakiegokolwiek drogowskazu, zobaczyłam zarośniętą, zardzewiałą furtkę, za którą ciągnęła się zasypana śmieciami ścieżka, a obok na ścianie – tabliczkę „INTERNET-CAFE". „Jest w tym coś na wskroś greckiego" – pomyślałam. Podobna myśl przyszła mi do głowy, kiedy zawiesiłam wzrok na bodajże trzydziestej mijanej miniaturowej kapliczce na wysokim podeście. Te malutkie rzeźby stojące przy niemal każdym domu świadczą o innej greckiej cesze, jaką udało mi się zaobserwować.

Grecy są mianowicie bardzo przywiązani do tradycji i przeszłości. Kiedy znalazłam się na głównym deptaku Kissamos, momentalnie uderzyło mnie, że na każdym rogu ulicy stoją tablice z przypiętymi czarno-białymi

Fot. Zuzanna Sędziak

Fot. Zuzanna Sędziak

fotografiami i – jak sądzę – greckimi opisami przodków mieszkańców. Spacerując przez najbardziej ożywioną część miasteczka, z zachwytem patrzyłam na witryny sklepowe pełne przedmiotów jakby żywcem wyjętych z początku XX wieku – stare, drewniane zabawki, porcelanowe lalki, pierwsze modele kamer i aparatów fotograficznych. Często zaglądałam do wnętrz, gdzie znajdowałam więcej skarbów. Odkryłam, że w Kissamos pełno jest sklepów z antykami, które należą do konkretnych rodzin od pokoleń i gdzie na ścianach wiszą fotografie i portrety przodków właścicieli, a często także – ich zdjęcia z dzieciństwa.

Zachwyciło mnie, jak głęboko zakorzenieni w swojej przeszłości czują się Grecy, a szczególnie – jak widocznej jest to w ich sposobie życia, niezmiennym od pokoleń. Otóż mieszkańcy Krety wiodą żywot spokojny, a główną ideą przyświecającą wszystkim ich działaniom jest z całą pewnością: nie ma pośpiechu. Grecy stronią od zmartwień, a z przeciwnościami losu radzą sobie metodami, które nam wydają się kontrowersyjne, acz dla Kreteńczyków są o tyle wartościowe, że wymagają minimum pracy, a dają pożądany efekt. Jako przykład można tutaj podać miejsce parkingowe dorobione przez pewnego mieszkańca Kissamos poprzez ustawienie metalowej płyty na zjeździe do garażu (przerobionego wcześniej na salon) czy kolektory słoneczne zamontowane na wielu dachach za pomocą srebrnej taśmy klejącej. Tak, Grecy zdecydowanie nie należą do fanów wysiłku i pracy. Dowodem na to są między innymi sjesty – jak najbardziej uzasadnione ze względu na panujące na Krecie upały – podczas których właściciele zamykają swoje sklepy, przechodzą do ogródka lub na taras, rozstawiają leżaczki i zasypiają w cieniu na kolejne dwie, trzy lub cztery godziny.

Ważnym elementem greckiego sposobu na życie jest też trwanie w zgodzie z naturą. Kreteńczycy wychodzą z założenia, że ze zdziczałą florą i momentami nazbyt oswojoną fauną nie należy walczyć. Dlatego pozwalają, aby koty, kozy i osiołki spacerowały sobie beztrosko po chodnikach, nie wyrywają roślin, które – pokonawszy warstwę asfaltu – wyrosły na środku mało ruchliwej drogi, ale przede wszystkim dostosowują swój tryb życia do życia natury, np. wspomnianych niejednokrotnie upałów.

Kreteńczycy przystosowują się powoli, ale nieubłaganie do wszystkiego – w tym także do obecności turystów. Stopniowo adaptują się do naszego szybkiego trybu życia i skomercjalizowanych wymagań. I tak w Grecji znaleźć można hotele występujące średnio co 15-20 metrów, w greckich restauracjach – menu w języku angielskim, niemieckim, polskim, hiszpańskim, francuskim, chińskim, japońskim, norweskim, rosyjskim etc., a w każdym sklepie z pamiątkami – niezliczoną ilość pocztówek w jednym z trzech typów: koty i objuczone osiołki wszelkiej maści, scenki mitologiczne oraz oczywiście plaże – piękne, choć monotonne, jeżeli oglądane na setnej pocztówce. I choć to przystosowanie do turystyki odbiera Krecie odrobinę uroku, jej mieszkańcy na szczęście zachowują fundamentalne zasady greckiego sposobu na życie w niezmienionej postaci.

Ja z doświadczeń moich małych greckich wakacji wyciągnęłam tyle wniosków, ile wersji menu można znaleźć w kreteńskich restauracjach; Wam zaś, Drodzy Czytelnicy, pozostawiam wolność wyboru tego, który odpowiada Wam najbardziej, i po prostu życzę wakacji spędzonych niekoniecznie w Grecji, ale po grecku – spokojnie i bez pośpiechu.

Zuzanna Sędziak

A potem, jako czynią modne bohatery, w łeb sobie strzelę

Aut. Marta Rogulska

Ciemność. Przytłaczająca ciemność. Juliusz Słowacki dryfował na cienkiej granicy pomiędzy snem a jawą. Byłby już dawno odpłynął w otchłań marzeń, ale przytłaczający ciężar, spoczywający na jego klatce piersiowej, skutecznie to uniemożliwiał. Powoli zaczynało mu brakować tchu, więc nie mając już zbyt dużego wyboru, ocknął się. Słońce, którego blask uderzył go zaraz po powrocie do rzeczywistości, okazało się orzeźwiające niczym kubeł zimnej wody; szkoda tylko, że wraz z nim spadło mu na głowę kowadło. A przynajmniej tak się czuł. Horrendalny ból głowy przypomniał mu o integralnym elemencie przyjęcia noworocznego: dużych ilościach alkoholu. Co do innych fragmentów swoich wspomnień nie był już tak pewny. O tym na pewno nie napisze Salomei…

Usiłując chronić oczy przed bezlitosnymi atakami słońca, chciał zakryć je dłonią, ale zatrzymał ją w połowie ruchu. Coś było nie tak; przez niecały rok mieszkania w paryskiej kamienicy jeszcze nigdy nie został obudzony przez bezpośrednie promienie światła. Szybkie spojrzenie na kierunek, z którego pochodziły, potwierdziło jego obawy; zdecydowanie nie znajdował się we własnym mieszkaniu.

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę z tego, iż ciężar, który wybudził go ze snu, nadal spoczywał na jego piersi. Szybkie spojrzenie w dół pozwoliło mu zidentyfikować rzeczony obiekt jako głowę z burzą kruczoczarnych włosów. Leżąca przy nim osoba zdawała się nadal spać. Niestety w najmniejszym stopniu nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wcześniej spotkał tę kobietę. Nie widział jej twarzy, nie był też w stanie stwierdzić, czy kiedykolwiek wcześniej znajdował się w tym pokoju. Zdecydował się na szybkie (i co najważniejsze, dyskretne) zniknięcie z mieszkania. Nie powinien pozwolić na to, żeby jego dobre imię wieszcza zaczęły kalać plotki. Zresztą i tak już od pewnego czasu planował wyprowadzkę z Paryża, a zdecydowanie nie chciał, aby jego wyjazd wyglądał na spowodowany jakimś wyimaginowanym romansem. To by dopiero Fryderyk i Zygmunt mieli pod dostatkiem historii do opowiadania na wszystkich swoich spotkaniach; Słowacki i tak nie przepadał za stosunkami panującymi wśród polskiej emigracji. A jakby jeszcze inni o tym usłyszeli… Juliusz mógł od razu wyobrazić sobie piątą część Dziadów, gdzie zupełnie przypadkiem znalazłby postać zaskakująco adekwatnie reprezentującą wszystkie negatywne cechy, o których posiadanie mógłby go na podstawie zasłyszanych pogłosek oskarżyć Mickiewicz.

Pochłonięty tymi rozmyślaniami zdołał wyślizgnąć się z łóżka, jednocześnie stwierdzając, że jest niemal całkowicie ubrany. Czy to dobrze, czy to źle – sam by się przed sobą nie przyznał, że poczuł delikatne ukłucie zawodu. Nie rozglądając się za bardzo po pokoju znalazł swój płaszcz na oparciu stojącego przy drzwiach krzesła – i już miał otworzyć drzwi, gdy tknięty jakimś tajemniczym impulsem, postanowił jeszcze raz spojrzeć na osobę leżącą w łóżku.

– NA WINKELRIEDA!

Donośnemu okrzykowi towarzyszyło trzaśnięcie drzwiami, które wstrząsnęło chyba całą kamienicą. Zaraz po tym wszyscy sąsiedzi mogli usłyszeć, jak wieszcz zbiegał po schodach, przeskakując po kilka stopni. Nadmierny pośpiech nie wyszedł mu jednak na dobre, gdyż najwyraźniej potknął się o własne nogi i pokonał ostatnią kondygnację w dość mało dystyngowany sposób. Zatrzy-

mało go to jednak tylko na chwilę, bo kilka sekund po tym, jak dudniące dźwięki ustały, wypadł na ulicę i zniknął w gęstwinie paryskich uliczek.

Tymczasem brutalnie wyrwany ze snu głośnym krzykiem Adam Mickiewicz nie mógł dojść do tego, co właśnie stało się w jego mieszkaniu.

– Celina? – rzucił w przestrzeń, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. No tak, na przyjęcie noworoczne udał się ze swoją narzeczoną i był całkowicie pewien, że razem wrócili do domu. Czyżby znowu ceniła sobie bardziej towarzystwo Odyńca niż jego…?

Jak później się okazało, pani Szymanowska pozostała na przyjęciu, wdając się w zagorzałą dyskusję z Zygmuntem Krasińskim. Na szczęście do rękoczynów nie doszło (to by dopiero wszyscy plotkowali o polskiej emigracji!) i po uspokojeniu się została na noc u gospodarzy. Sam Mickiewicz nie pamiętał wieczoru zbyt dobrze, więc wkrótce przestał sobie tym zaprzątać głowę. Natomiast ucieszył się, gdy kilka dni później przyjaciele przekazali mu wiadomość o nagłej wyprowadzce Juliusza Słowackiego do Genewy.

Marta Rogulska

Teatr w roli głównej

Na korytarzu w Młodzieżowym Domu Kultury jest wystawa nt. istniejącej od 1972 roku Sceny Młodych Studia P. Czytam, że zespół przygotował dotychczas 53 premiery i występował w 18 krajach Europy – tworząc nawet w języku esperanto. Oglądam zdjęcia z różnych spektakli. „Muszą pokazywać ekspresję wykonania i skupienie" – mówi pani Lucyna Sowińska, założycielka zespołu, odznaczona w 2017 roku medalem THORUNIUM. Po chwili zaprasza mnie do sali, w której właśnie zaczyna się próba.

Na początku każdy dostaje swój scenariusz, który ma z tyłu puste kartki, aby młodzi aktorzy mogli zapisywać swoje notatki i uwagi. W przygotowaniu jest sztuka na razie owiana tajemnicą. Wstępną wersję opracowała pani Lucyna, ale jak mówi Agata Matecka: „Spektakl nie jest od góry ustalony – jego powstawanie to, trwający bardzo długo, proces". Kornel Mederowski dodaje, że wystawienie spektaklu nie oznacza końca pracy nad nim. „Nadal go rozwijamy i jest wielce prawdopodobne, że przy następnym wystawieniu będzie wyglądał nieco inaczej – lepiej" – mówi. Jedno przedstawienie prezentowali cztery razy, za każdym inaczej. Podczas przygotowywania spektaklu grupa rozwija warsztat aktorski, na który według Kornela składają się między innymi: umiejętność współpracy w grupie, mówienia przed publicznością, płynność ruchu, panowanie nad swoim głosem i jak najpełniejsze jego wykorzystanie. Młodzież ćwiczy też emisję głosu. „Pamiętam, jak pani Lucyna przez całą próbę męczyła mnie z artykulacji jednego słowa, którego nie umiałam poprawnie wymówić" – wspomina Agata. Tego rodzaju ćwiczenia oglądam podczas rozgrzewki. Wszyscy chodzą w koło. Wykonują charakterystyczny gest odpychania. Trudno powiedzieć dokładnie, co robią, ale na pewno angażują całe ciało. Nastaje cisza, atmosfera wydaje mi się bardzo relaksacyjna. Koło zatrzymuje się. Młodzi przystępują do ćwiczeń statycznych. Każdy z wf-u zna kręcenie głową, ale aktorzy robią to inaczej – na trzy lub na pięć. Tę drugą wersję zaobserwowali na deskach Teatru Williama Horzycy. Mówią, że chodzą tam, jeśli tylko zdarzy się okazja. „Kontakt z kulturą zarówno wysoką, jak i masową może przynieść sporo pożytku, jeśli ktoś potrafi analizować to, co się dzieje wokół niego" – mówi Olga Zabulska, a Kornel dodaje, że „wizyty w teatrze wiążą się z odbiorem różnych bodźców, co rozwija ducha". Młodzi ćwiczą też mimikę twarzy, ruch, interpretację i improwizację. „Podczas rozgrzewki ciało wchodzi w maksymalną ekspresję"– wyjaśnia pani Lucyna, a po chwili zarządza masaż przepony. Aktorzy klepią się po brzuchach, a potem krzyczą „HA!". Każdy robi to na swój sposób. Następnie klepią siebie nawzajem, dobrze się przy tym bawiąc. Kiedy już przepony są rozgrzane, grupa ćwiczy języki popularnym „rrrrrrr", a potem „udeptuje kapustę". „Teraz już niech każdy myśli o swojej postaci" – poleca aktorom opiekunka. Zauważam, że podczas próby zwraca się do młodych imionami, jakie noszą ich postaci.

Do grupy dołącza pan Igor Nowicki, który jest odpowiedzialny za muzykę. Wszyscy słuchają nagrania i próbują określić, z czym im się kojarzy. Ostatecznie ustalają, że chodzi o dźwięki, jakie wydaje dzikie plemię. Pani Lucyna zadaje kolejne pytanie: „Gdzie we współczesnym świecie można spotkać dzikie plemię?". Teatr wymaga od aktorów głębokiego zrozumienia tego, co przedstawiają. Po przećwiczeniu jednej ze scen pani Lucyna prosi Ninę Puchalską, aby ją zinterpretowała. Rozumiem już, co miała na myśli Olga, mówiąc, że młodzież tutaj realizuje także swoje zainteresowania humanistyczne i analizuje otaczający ich świat. Wszyscy bowiem mają za zadanie sparodiować samych siebie w szkole. Improwizują. Mówią kwestie, których nie ma w scenariuszu.

Światło zostaje zgaszone, rolety zasłonięte. Włączony jest tylko reflektor przysłonięty czerwoną kartką. Kuba mówi, że jest to namiastka sceny, a Klaudia Rydygier, że dzięki temu łatwiej im się wczuć. Podczas spektaklu światła będą inne, na razie są robocze, tak jak rekwizyty. Do parodii sytuacji ze szkolnego korytarza młodzież wykorzystuje to, co ma pod ręką – telefon, okulary słoneczne, słuchawki. Wszystko jest dobierane spontanicznie. „My tu dopiero kombinujemy" – przyznaje pani Lucyna. Jedna scena jest ćwiczona kilka, nawet kilkanaście razy. Osoby, które w niej nie występują, czekają na swoją kolej w ciszy, żeby nie przeszkadzać ćwiczącym. W teatrze panuje dyscyplina. Każdą nieobecność trzeba usprawiedliwiać. Nie ma akurat kilku osób, co pani Lucyna podsumowuje słowami: „Zapiszemy na listę i najwyżej zrezygnujemy z usług…". „Jeżeli kogoś nie ma, a mamy opracowaną scenę – pojawia się luka. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to, co robimy" – przyznaje Agata. Olga i Kuba mówią, że miewają momenty, w których chcą zrezygnować, ale w Studiu P trzyma ich pasja. Skład grup jest ruchomy – zazwyczaj zmienia się we wrześniu. „Śmiejemy się, bo czasami ludzie tu przychodzą, bo wyczytali, że do Studia P uczęszczała Małgorzata Kożuchowska i chcą być tak samo znani" – opowiada Olga, a Kornel z uśmiechem na twarzy wspomina, że na jedno ze spotkań przyszedł chłopak, który koniecznie chciał rapować. „Tu nie ma szans na szybką karierę" – zgodnie stwierdza grupa. Na pytanie, kto planuje związać przyszłość z aktorstwem, z początku nie odpowiada nikt. „Żadna osoba się teraz nie przyzna, bo mówią nam, że Ci, którzy chcą być aktorami nimi nie zostają" – wyjaśnia Kuba. „Nawet jeśli nie chcemy iść do szkoły filmowej, nabywamy tu wiele przydatnych w życiu umiejętności" – dodaje Olga. „W Studiu P nauczyłam się wysławiać" – przyznaje Agata. Nina uważa, że łatwiej jej zawierać nowe znajomości. Podczas próby jednej ze scen Klaudia mówi za szybko. „Za ile minut pojedziesz do domu?" – pyta ją nagle pani Lucyna. „Nie wiem" – odpowiada po chwili Klaudia. „Widzisz – masz mówić tak, jakbyś nie znała dalszego tekstu, tak jak odpowiedziałaś na moje pytanie" – radzi opiekunka grupy. Potem każe wszystkim mówić nie swoim głosem: w konwencji humorystycznej, horrorystycznej albo tragicznej. Kuba, czyli w spektaklu Josh, musi „zaryczeć jak lew". Pani Lucyna całym ciałem angażuje się w próbę. Widać, że żyje teatrem, podobnie jak Małgorzata Chojnowska-Wiśniewska zajmująca się Teatrem R.Bezimienni, również działającym w Młodzieżowym Domu Kultury.

31 marca oglądam – przygotowany przez SKĘ, grupę wokalno-aktorską – spektakl „Obsesje", poprzedzony wprowadzeniem, w czasie którego pani Gosia tłumaczy ideę przedstawienia. Ma ono na celu głównie pokazanie warsztatu aktorskiego, doskonalonego przez młodych. Podczas spektaklu widoczne są umiejętności, o których mówiono mi w Studiu P. Nie jest to historia opowiedziana od początku do końca. „Tym razem na warsztat wzięliśmy tekst Raymonda Queneau pt. Ćwiczenia stylistyczne, który już sam w sobie jest eksperymentem literackim. Próbowaliśmy za pomocą emocji opowiedzieć tę samą historię w różnych odsłonach. Scena w autobusie była tak naprawdę naszą wariacją na temat odtwórczego przedstawiania dramatu w teatrze – gesty specjalnie były przerysowane, a didaskalia czytane, aby ukazać zdarzenie dosłownie, a przez to komicznie" – wyjaśnia mi potem, występująca w spektaklu, Aleksandra Lichocka, którą znam ze szkolnego korytarza. Na scenie wygląda inaczej. „Teatr zmienia ludzi" – mówi pani Lucyna.

Zuzanna Kuffel

GiLA-my, nr 4 (25), czerwiec 2017

Opiekun gazety: Ilona Glatzel

Redaktor naczelna: Zuzanna Kuffel

Zespół redakcyjny: Stanisław Kostulski, Zuzanna Kuffel, Adam Łangowski, Marta Rogulska, Zuzanna Sędziak

Opracowanie graficzne, skład i łamanie: Zuzanna Kuffel

Okładka: Marta Rogulska

Korekta: Zuzanna Sędziak

Kontakt: redakcja.gila@gmail.com